

K A T E Q U I N N
O K O
S N A J P E R K I

Przełożyła
Anna Gralak

Powieść *Oko snajperki* jest fikcją literacką. Odniesienia do prawdziwych osób, wydarzeń, miejsc, organizacji mają na celu jedynie stworzenie pozorów autentyczności. Pozostałe postacie, wydarzenia, dialogi są wytworem wyobraźni i skutkiem zamysłu literackiego autorki.

Originally published under the title *The Diamond Eye*

© Kate Quinn, 2022

All rights reserved

Opublikowane w porozumieniu z HarperCollins. Wszelkie prawa zastrzeżone

Copyright for this edition © Wydawnictwo WAM, 2022

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculowicz

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Monika Karolczuk

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: © Patrick Mueller/Unsplash

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-3328-3

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk i oprawa: READ ME • Łódź

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book cream 70 g vol. 2.0
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

Wszystkim pisarzom,
którzy zdołali napisać książkę
w czasie lockdownu z powodu COVID-19 –
wszystkim twórcom,
którzy zdołali tworzyć sztukę w okresie pandemii.
Było naprawdę ciężko, prawda?

*Latem 1942 roku,
gdy świat był pochłonięty wojną z Hitlerem,
pewna kobieta ze Związku Radzieckiego
przemierzyła ocean
i dotarła do Stanów Zjednoczonych.*

*Była samotną matką, studentką,
pracownicą naukową biblioteki.
Była żołnierzem, bohaterką wojenną,
snajperką mającą na koncie 309 trafień.*

*Była wysłanniczką Rosji, ulubienicą Ameryki
oraz serdeczną przyjaciółką Eleanor Roosevelt.*

*Jej historia jest niesamowita. Jej historia jest prawdziwa.
Poznajcie Panią Śmierć.*

PROLOG

*27 sierpnia 1942
Waszyngton*

Stał z diamentami w kieszeni i ze śmiercią w sercu, patrząc, jak rosyjska snajperka wita się uściskiem dłoni z pierwszą damą Stanów Zjednoczonych.

– Czy ktoś kiedykolwiek słyszał, żeby dziewczyna była snajperem? – Do uszu strzelca wyborowego doleciało narzekanie stojącego za nim fotoreportera. Wyciągnął szyję, by dojrzeć młodą kobietę, która wysiadła przed chwilą z ambasadorskiej limuzyny. Chyba wzdrygnęła się w obliczu ognia zaporowego fleszy, przypominającego ostrzał z karabinów, i odwróciwszy wzrok, ruszyła w zwartym szyku radzieckich ochroniarzy po schodach Białego Domu. Fotoreporter prychnął.

– Moim zdaniem to oszustka – zadrwił.

A mimo to nie zdołaliśmy oprzeć się pokusie i przyszedliśmy na nią popatrzeć, pomyślał strzelec wyborowy, podrzucając leniwie w dłoń swój podrobiony identyfikator prasowy. Coś takiego jak przyjazd delegacji ze Związku Radzieckiego na międzynarodową konferencję studencką, będącą najnowszym przedsięwzięciem Eleanor Roosevelt, zasługiwałoby najwyżej na parę linijek tekstu, a już z pewnością nie wyciągnęłoby z łóżek przed świtem gromady skacowanych dziennikarzy i fotoreporterów ani nie skłoniło ich do biegnięcia z długopisami w dłoniach pod bramę Białego Domu, gdyby nie ta dziewczyna w wyprasowanym oliwkowozielonym mundurze.

– Mówili, że miała siedemdziesiąt pięć trafień na rosyjskim froncie? – zastanawiał się głośno dziennikarz „Washington Post”, szperając w swoich notatkach.

– Myślałem, że ponad setkę...

– Więcej – powiedział strzelec wyborowy z akcentem z wirgińskiego Tidewater, w którym się wychował. Już dawno wygładził swoje miękkie południowe samogłoski, nadając im płaską śródkontynentalną intonację, która mogła przynależeć wszędzie i nigdzie, lecz często pozwalał, by Wirginia wkradała się z powrotem do jego głosu – w zależności od tego, z kim akurat rozmawiał. Ludzie ufali południowemu akcentowi i strzelec wyborowy zdobywał w ten sposób ich zaufanie: gibki mężczyzna średniego wzrostu i z włosami średniej długości w kolorze między brązem a blond, z wąską twarzą i oczami barwy błota, zazwyczaj podzwaniający diamentami, które nosił luzem w kieszeni spodni. Nie lubił banków. Każdy, kto go wynajmował, płacił mu gotówką, którą on natychmiast wymieniał na klejnoty. Lżejsze od gotówki, łatwe do ukrycia – całkiem jak kule. Miał trzydzieści osiem lat, działał od dziewiętnastu i zbierał już ponad trzydzieści trafień. Przekładało się to na mnóstwo diamentów i mnóstwo kul.

– Jak taka dziewczyna miałaby zabić ponad stu nazistów? – zastanawiał się stojący obok niego sprawozdawca, który wciąż obserwował Rosjankę na schodach przed Białym Domem. Stała obok grupy ubranych w ciemne garnitury mężczyzn z ambasady, gdy pierwsza dama witała pozostałych członków radzieckiej delegacji. – Nie była przypadkiem bibliotekarką, nauczycielką albo kimś w tym rodzaju?

– Widocznie Ruscy przyjmują kobiety do wojska...

Może do batalionów medycznych, pomyślał strzelec wyborowy. Ale nawet komuchy nie robią z kobiet snajperów.

A jednak przyszedł, żeby ją zobaczyć na własne oczy. Chciał spojrzeć na kobietę, której skąpą biografię znał już na pamięć: Ludmiła

Pawliczenko, lat dwadzieścia sześć, studentka czwartego roku historii na Kijowskim Uniwersytecie Narodowym i starsza pracownica naukowa w bibliotece publicznej w Odessie – przed wojną. Wojna dopisała do tego trzynastcie miesięcy walki przeciwko wojskom Hitlera na froncie w Związku Radzieckim.

Przydomek: Pani Śmierć.

– Niech to szlag, to w końcu ile miała tych trafień? – Dziennikarz „Washington Post” wciąż przeszukiwał notatki. – Więcej niż dwieście?

Trzysta dziewięć, pomyślał strzelec wyborowy, lecz ani trochę w to nie wierzył. Ta bibliotekareczka na pewno nie była wyszkoloną zabójczynią. Była kukielką wypchaną radziecką propagandą, starannie wybraną do studenckiej delegacji, i strzelec wyborowy wiedział dlaczego. Ładna brunetka o żywych ciemnych oczach i czystej, fotogenicznej twarzy nad obwieszonym medalami mundurem w niczym nie przypominała babochłopa, jaki kojarzyliby się Amerykanom z kobietą służącą w radzieckiej armii. Rosjanie potrzebowali amerykańskiej pomocy, potrzebowali dobrych relacji prasowych z tej delegacji do Ameryki, więc wybrali najbardziej ujmujących kandydatów, jakich udało im się znaleźć. W pierwszym rządzie i na samym środku stała właśnie ta snajperka, która obok Eleanor Roosevelt, tej wysokiej, kościstej jędzy, wydawała się drobna i pociągająca.

– Gratulujemy bezpiecznego dotarcia do Ameryki. – Dziennikarze przepchnęli się wystarczająco blisko, by bez trudu usłyszeć wytworny, typowy dla wyższych sfer głos pierwszej damy zwracającej się do radzieckiej delegacji i ujrzeć błysk jej końskich zębów. – W imieniu mojego męża, prezydenta, witam państwa w Białym Domu. Mąż z niecierpliwością czeka na spotkanie i zaprasza, byście pierwsze dni w stolicy Stanów Zjednoczonych spędzili państwo pod naszym dachem. Jesteście jednymi z pierwszych radzieckich gości, którzy będą podejmowani w Białym Domu. To historyczna chwila w przyjaźni między naszymi narodami.

Skierowała Rosjan do środka i to był koniec powitania. Nie minęło jeszcze wół do siódmej, niebo nad stolicą ledwie zarumieniło się od słońca, gdy grupa dziennikarzy, fotoreporterów i jeden samotny, nieszkodliwy zamachowiec zaczęła się rozchodzić.

– Nigdy nie przypuszczałem, że doczekam dnia, w którym w Białym Domu będą witali rosyjskiego snajpera – mruknął z niezadowoleniem szpakowaty sprawozdawca. – FDR tego pożałuje.

Nie zdąży, pomyślał strzelec wyborowy, nie odrywając wzroku od starannie uczesanych ciemnych włosów Mili Pawliczenko, która szła za pierwszą damą w stronę drzwi Białego Domu. Za dziewięć dni – w ostatnim dniu międzynarodowej konferencji – prezydent Roosevelt będzie już martwy.

– Już widzę te nagłówki – mamrotał reporter „Washington Post”, bazgrząc coś w notesie. – Serdeczne powitanie rosyjskiej snajperki w Białym Domu.

Strzelec wyborowy uśmiechnął się, znowu podzwaniając diamentami w kieszeni. Za dziesięć dni wszystkie nagłówki miały krzyczeć: ROSYJSKA SNAJPERKA ZABIŁA FDR!

ZAPISKI PIERWSZEJ DAMY

Prezydent zamierzał powitać radziecką delegację razem ze mną, lecz rano się przewrócił. Gdy zapukałam i weszłam, przynosząc mu plik notatek służbowych i sprawozdań do przeczytania, zobaczyłam, jak Franklin wyslizguje się z rąk lokajowi podnoszącemu go z łóżka. Gruchnął na dywan w sypialni. Gdyby to się stało w miejscu publicznym, ryknąłby śmiechem, jakby to był tylko kawał, numer w stylu Charliego Chaplina, i zacząłby się podnosić, opowiadając jakiś rubaszny, pokrępiający dowcip. Ponieważ jednak znajdował się w zaciszu swojej sypialni, pozwolił, by jego twarz wykrzywił bolesny grymas. Zawsze

mam wrażenie, że w takich chwilach powinnam odwracać wzrok – patrzeć, jak dumna fasada prezydenta Franklina D. Roosevelta pęka pod wpływem frustracji wywołanej porażkami jego ciała, wydaje mi się profanacją.

Gdy już siedzi, uspokajam go i mówię, żeby bez pośpiechu zjadł śniadanie, po czym proponuję, że sama powitam radziecką delegację. Rozkład dnia prezydenta i tak jest napięty. Mogę przynajmniej wyręczyć go w pierwszym zadaniu. Choć żartuje ze swojego upadku, widzę jego wdzięczność.

– Lepiej, że to się stało tutaj, niż gdyby miały to zobaczyć te wszystkie szakale.

– Nie ośmieliliby się okazać radości – mówię lekkim tonem.

– Ale modliliby się, żebym nie wstał.

Coś w jego tonie nie daje mi spokoju, lecz on już sięga po poranne gazety, szykując się na nadchodzący dzień. Światu wydaje się niezwykła: płynący z radia gęsty jak miód głos pełen złocistej pewności siebie, profil niczym dziób okrętu rozłupujący świat, stercząca fifka zamiast bukszprytu. Tylko nieliczni widzą żelazną wolę, która spaja tę fasadę, sprawia, że jego ciało wciąż idzie naprzód, trzyma wrogów z daleka.

Wychodząc ku światłu poranka, by powitać radziecką delegację – zwartą grupę enigmatycznych mężczyzn w ciemnych garniturach i jedną niespodziewaną młodą kobietę o poważnym spojrzeniu (mówią, że jest snajperką?) – mam nadzieję, że ta wola wystarczy.

PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

*Listopad 1937
Kijów, Związek Radziecki*

MILA

I

Jeszcze nie byłam żołnierzem. Jeszcze nie prowadziliśmy wojny. Jeszcze nie potrafiłam sobie wyobrazić, że mogłabym odebrać komuś życie. Byłam po prostu matką, dwudziestojednoletnią i przerażoną. Gdy jesteś matką, panika może cię ogarnąć w okamgnieniu. Wystarczy chwila, w której omiatasz jakieś pomieszczenie wzrokiem, szukając swojego dziecka, i go nie znajdujesz.

– Słuchaj, Milu – zaczęła moja matka – nie denerwuj się...

– Gdzie jest Sławka? – Nawet nie zdążyłam zdjąć połatanych rękawiczek i przyprószonego śniegiem płaszcza, a już łomotało mi serce. Na podłodze w mieszkaniu stała niedokończona fabryka budowana z klocków przez mojego syna, był tam stosik jego podniszczonych książeczek, ale nigdzie nie widziałam krzepkiego ciemnowłosego pięciolatka.

– Wpadł jego ojciec. Wiedział, że nie zjawił się w wyznaczonym terminie...

– Miło, że to przyznał – wycedziłam przez zęby. Był to drugi termin, który umówiłam w celu sfinalizowania naszego rozvodu. Za pierwszym razem mój mąż się nie stawił. W obu przypadkach musiałam ciuć miesiącami, by odłożyć pięćdziesiąt rubli na wymaganą opłatę, i tygodniami czekać na wyznaczenie terminu przez zawałone pracą biuro. Później tkwiłam godzinami w zimnym, dusznym korytarzu, wypatrując złotowłosej głowy męża... i wszystko na nic. W moim żołądku tliła się złość. Radzieccy obywatele i bez tego spędzali stanowczo za dużo czasu w kolejkach!

Matka wytarła ręce w fartuch, jej duże oczy wpatrywały się we mnie błagalnie.

– *Małyśzka*, było mu bardzo przykro. Chciał zrobić Sławce przyjemność. Przez ostatnich pięć lat prawie go nie widywał, swojego własnego syna...

A niby czyja to wina?, miałam ochotę zapytać. To nie ja trzymałam naszego syna z dala od życia Aleksieja. To mój mąż zaledwie parę miesięcy po tym, jak nazwał naszego syna Rostisławem Pawliczenką, uznał, że małżeństwo i ojcostwo jednak nie są w jego guście. Dobra, ładna twarz mojej matki wyrażała jednak nadzieję, więc powstrzymałam gorzkie słowa.

Głos mamy brzmiał łagodnie.

– Może jest jakiś powód, dla którego nie stawia się na tych spotkaniach.

– Pewnie, że jest – oświadczyłam. – Chce, żebym tańczyła, jak mi zagra.

– Może tak naprawdę liczy na pojednanie.

– Mamo, nie zaczynaj...

– To lekarz, Milu. Najlepszy chirurg na Ukrainie, sama mówiłaś...

– Owszem, ale...

– Pnie się na szczyt. Własne mieszkanie zamiast komunalnego, dobra pensja, członkostwo w partii. To nie byle co. – Moja matka wracała

do dawnego sporu. Nie pochwalała sposobu, w jaki związałam się z Aleksiejem. Mówiła, że to się stało zbyt szybko, że on jest dla mnie za stary, i miała rację, poza tym chciała jednak, bym była bezpieczna, by nie doskwierały mi zimno ani głód. – Zawsze mówiłaś, że on nie pije i nigdy cię nie uderzył – ciągnęła. – Może nie jest mężczyzną, o jakim marzyłaś, ale żona chirurga nigdy nie będzie stała w kolejce po chleb, podobnie jak jego dzieci. Nie pamiętasz głodu, byłaś jeszcze mała... ale nie ma czegoś takiego, czego nie zniesie kobieta, by wykarmić swoje dzieci.

Spojrzałam na swoje zniszczone rękawiczki. Wiedziałam, że nic z tego, co powiedziała, nie jest nieprawdą.

Wiedziałam również, że z jakiegoś powodu boję się zostawiać synka sam na sam z jego ojcem.

– Mamo. Gdzie oni są?



Nie była to żadna wielka strzelnica, tylko przekształcona hala magazynowa: kraty w oknach, mały arsenał, rząd drewnianych tarcz, mężczyźni na linii ognia stojący w rozkroku z uniesionymi pistoletami albo leżący na brzuchu, by strzelać z karabinów... a pośród tego wszystkiego wysoki blondyn z małym chłopcem: Aleksiej Pawliczenko i mały Rostisław Aleksiejewicz. Odetchnęłam z ulgą.

– Każdy mężczyzna powinien umieć strzelać. – Podchodząc do nich, słyszałam, co Aleksiej mówi do naszego syna. Pokazywał Sławce, jak trzymać o wiele dla niego za duży karabin, a jego głos przybrał ten wyniosły ton, który tak dobrze pamiętałam. Mój mąż niczego nie lubił bardziej, niż objaśniać różne rzeczy ludziom wiedzącym mniej niż on. – Oczywiście aby zostać prawdziwym mistrzem, potrzebne są wrodzone predyspozycje.

– Jakie predyspozycje, tato? – Sławka wytrzeszczał oczy i wpatrywał się w złotowłosego obcego pana, którego ledwie znał. W człowieka, który odszedł z jego życia, nie oglądając się za siebie, gdy on miał zaledwie półtora miesiąca.

– Cierpliwość. Dobry wzrok. Pewna ręka i doskonałe wyczucie broni. To dlatego twój tata tak dobrze strzela, ma dłonie chirurga. – Aleksiej spojrział w dół i uśmiechnął się, a Sławka jeszcze bardziej wytrzeszczył oczy. – Teraz spróbuj sam...

– Sławka! – zawołałam, idąc wzdłuż linii ognia i pamiętając, żeby trzymać się za strzelającymi. – Odłóż ten karabin. Jesteś za mały, żeby mieć do czynienia z tak dużą bronią.

Zaskoczony Sławka spojrział na mnie z poczuciem winy, lecz Aleksiej nie wydawał się zaskoczony ani moim przyjściem, ani moją nachmurzoną miną.

– O, cześć – powiedział bez mrugnięcia okiem, odsuwając pukiel jasnych włosów z wysokiego czoła. Był ode mnie wyższy o głowę: trzydzieści sześć lat, szczupła sylwetka, jasne włosy, białe zęby i spontaniczny uśmiech. – Ślicznie wyglądasz, *kroszka*.

Nie zwracałam sobie głowy prośbami, żeby mnie tak nie nazywał – dobrze wiedział, że doprowadza mnie to do szału. Mniej więcej przez tydzień naszego małżeństwa wydawało mi się urocze, że nazywa mnie swoim okruszkiem chleba – „Bo taka z ciebie drobinka, Milu!” – lecz niebawem zrozumiałam, że okruszek to coś, co można z łatwością wyrzucić. Śmieć.

– Nie powinieneś być zabierać Sławki bez mojej zgody – powiedziałam najbardziej opanowanym głosem, na jaki zdołałam się zdobyć. Wciąż czułam pulsowanie strachu, mimo że mój syn był cały i bezpieczny. W zasadzie nie myślałam, że Aleksiej mógłby spróbować mi go ukraść, ale takie rzeczy się zdarzały. W fabryce, w której pracowałam, kiedy Sławka był niemowlęciem, jedna z operatorok tokarki płakała i szalała ze złości, gdy były mąż zabrał ich córkę ze szkoły i bez

uprzedzenia wywiózł do Leningradu. Nigdy nie odzyskała dziewczynki. Mąż miał w kieszeni zbyt wielu przyjaciół w partii. Takie rzeczy się zdarzały.

– Spokojnie, Milu. – Aleksiej uśmiechnął się jeszcze szerzej i wtedy strach w moim żołądku zaczął się przedzierzgać w złość. Mój mąż wiedział, że się wystraszyłam. Wiedział o tym i bardzo mu się to podobało. – Kto miałby nauczyć chłopaka strzelać, jeśli nie jego ojciec?

– Też umiem strzelać, sama mogę...

– Zresztą teraz to bez znaczenia. – Znów spojrzał na mnie z rozbarwieniem. – Już się tu zjawiłaś. Zjawiłaś się, żeby popsuć zabawę!

Zobaczyłam, jak puszcza oko nad moją głową do jakiegoś kumpla. *Ech, te kobiety!*, mówił ten gest. *Zawsze popsują facetowi zabawę, prawda?* Zajęłam się zdejmowaniem rękawiczek i wyplątywaniem się z zimowego płaszcza, mając świadomość, że jestem jedyną kobietą na linii ognia. Zwykle kobiety stały z tyłu i biły brawo, podczas gdy ich bracia, chłopcy albo mężowie strzelali. Poczynając od Lenina, radzieccy mężczyźni zawsze lubili opowiadać o kobietach stojących z nimi ramię w ramię w każdej dziedzinie, jaką ma do zaoferowania społeczeństwo, ale gdy chodziło o opiekę nad dziećmi, szorowanie naczyń albo bicie brawa, z moich obserwacji niezmiennie wynikało, że większość tego opiekowania się, szorowania i klaskania wciąż przypadała w udziale kobietom. Nie żebym jakoś szczególnie to kwestionowała: po prostu tak był urządzony świat, od zawsze.

– Mamoczka? – Sławka spojrzał na mnie zaniepokojony.

– Proszę cię, oddaj karabin – powiedziałam cicho, przeczesując dłonią jego włosy, by pokazać, że się na niego nie gniewam. – Jesteś za mały na taką dużą broń.

– Wcale nie – obruszył się Aleksiej, biorąc karabin. – Cackaj się z nim tak dalej, a nigdy nie zrobisz z niego mężczyzny. Sławka, patrz, jak ładuję...

Dłonie Aleksieja poruszały się szybko, ładując karabinek TOZ-8. To właśnie te dłonie zwróciły kiedyś moją uwagę, gdy zobaczyłam go na potańcówce, dłonie chirurga, długopalczaste i precyzyjne, pracujące z niebywałą zręcznością i skupieniem. *Co, nie potrafisz odmówić, kiedy uśmiecha się do ciebie blondyn?*, zgaśniła mnie matka, gdy się dowiedziała, że jestem w ciąży, ale to nie wzrost, urok ani nawet dłonie Aleksieja Pawliczenki pchnęły mnie w jego ramiona. Były to jego umiejętności, jego koncentracja, determinacja – tak bardzo odróżniające go od chłopców w moim wieku, którym w głowie były tylko wygłupy i czcza gadanina. Aleksiej nie był już chłopcem, był mężczyzną po trzydziestce i wiedział, czego chce, a jeśli czegoś chciał, szkolił się z myślą o tym, dążył do tego i to zdobywał. Dostrzegłam to w nim tego pierwszego wieczoru, młoda i roześmiana w marnej fioletowej sukience. Niespełna piętnastoletnia.

Dziewięć miesięcy później zostałam matką.

Posłałam Sławkę, żeby powiesił mój płaszcz w głębi hali, a potem odwróciłam się do Aleksieja.

– Nie przyszedłeś na umówione spotkanie. – Usilnie starałam się zachować spokojny ton. Nie zamierzałam wyjść na histeryczkę, to by go tylko rozbawiło. – Czekałam prawie trzy godziny.

Wzruszył ramionami.

– Wyleciało mi z głowy. Jestem zajętym człowiekiem, *kroszka*.

– Wiesz, że sfinalizowanie rozwodu wymaga obecności nas obojga. Nie chcesz być moim mężem, więc dlaczego się nie stawiasz?

– Wynagrodzę ci to – powiedział beztrosko, a jeden z jego kumpli w dalszej części szeregu zarechotał na widok mojej miny.

– Ona nie chce, żebyś jej to wynagradzał! – Za moimi plecami rozległ się śmiech i ktoś mruknął: „Wolałbym, żeby to ona mi wynagrodziła!”. Aleksiej uśmiechnął się, spoglądając nad moją głowę.

– Umówię kolejne spotkanie, żeby sfinalizować rozwód – powiedziałam najchłodniej, jak umiałam. – Jeśli się pojawisz, to zajmie kilka

minut. – Nie podobał mi się bałagan, jakiego narobiłam w swoim życiu: zostałam matką w wieku piętnastu lat, mąż porzucił mnie po kilku miesiącach i w wieku dwudziestu jeden lat byłam potencjalną rozwódką – lepiej jednak być rozwódką, niż dalej tkwić w stanie zawieszenia, w którym pozostawałam ostatnich sześć lat: ni to mężatka, ni to niezamężna.

– Oj, Milu, nie wściekaj się tak. Wiesz, że lubię się droczyć. – Aleksiej dał mi żartobliwego kuksańca w zębra. Tyle tylko, że ten kuksaniec zabołał, choć miałam na sobie wełniany sweter. – Wiesz, dobrze wyglądasz. Wręcz promieniejesz... Może jest jakiś powód, dla którego tak chcesz tego rozwodu? Jakiś mężczyzna?

Wciąż się droczył, wciąż mówił żartobliwym tonem, lecz w jego słowach zabrzmiała ostrzejsza nuta. Tak naprawdę już mnie nie chciał, ale nie podobało mu się, że mógłby mnie chcieć ktoś inny. A tym bardziej, że ktoś inny mógłby mnie dostać.

– Nikogo takiego nie ma – odparłam. Nawet gdyby był, nie powiedziałabym mu. Ale nikogo nie było. Między zajęciami na uniwersytecie i nauką, zebraniami Komsomołu i opieką nad Sławką, spałam mniej więcej pięć godzin na dobę. Kiedy miałabym mieć czas na nowego mężczyznę?

Aleksiej obracał karabin w dłoniach, wciąż mi się przyglądając.

– Jesteś teraz na trzecim roku studiów?

– Na drugim. – Studiowałam na Wydziale Historii Kijowskiego Uniwersytetu Narodowego i ciężko pracowałam na legitymację studentką, ucząc się przez rok po nocach i jednocześnie pracując w systemie zmianowym jako operatorka tokarki w fabryce broni. Wtedy musiało mi wystarczyć około czterech godzin snu na dobę, ale było warto. Wszystko dla Sławki, dla przyszłości jego i mojej. – Aleksiej, jeśli uda mi się umówić kolejny termin...

– Aleksiej! – zawołał ktoś z linii ognia, mierząc mnie wzrokiem. – To jest ta twoja żonka?

Mój mąż objął mnie ramieniem i krótko ścisnął.

– Powiedz jej, jak dobrze strzelam, Sierioża. Już nie robię na niej wrażenia. Tak to bywa z żonami, no nie? – Aleksiej zobaczył moją minę i pochylił się, by trącić mnie nosem w ucho. – Tylko się droczę, *kroszka*, nie najeżaj się.

– Waszemu mężowi dobrze idzie, proszę zobaczyć, jak się obchodzi z TOZ-8!

– To tylko prosty jednostrzałowy karabinek – wyjaśnił mi Aleksiej, gdy wyswobodziłam się z jego objęcia. – Nazywamy go drobiażdżek.

– Wiem, jak on się nazywa. – Nie byłam żadną wielką ekspertką, ale chodziłam już na strzelnicę z fabrycznym klubem strzeleckim. Wiedziałam to i owo na temat broni. – TOZ-8, co najmniej sto dwadzieścia do stu osiemdziesięciu metrów...

– TOZ-8, prędkość początkowa pocisku trzysta dwadzieścia metrów na sekundę, donośność od stu dwudziestu do stu osiemdziesięciu metrów – recytował Aleksiej, w ogóle mnie nie słuchając. – Tutaj jest ruchomy suwak...

– Wiem. Miałam go już w rękach...

Uniósł karabin, wymierzył starannie, a potem rozległ się trzask wystrzału.

– Widzisz, prawie w sam środek.

Ugryzłam się w język wystarczająco mocno, żeby zabolalo. Miałam ochotę odwrócić się na pięcie, wziąć syna i czym prędzej się stamtąd wynieść, ale Sławka guzdrał się przy wieszakach, przysłuchując się jakiejś głośniejszej dyskusji politycznej prowadzonej przez dwóch mężczyzn – a ja nie chciałam wyjść, nie uzyskawszy jakiejś gwarancji. Gwarancji, że jeśli umówię kolejne spotkanie w celu sfinalizowania naszego rozvodu, Aleksiej się na nim pojawi.

– Dawniej nigdy nie spędzałeś tyle czasu na strzelnicy. Dlaczego tak ci teraz zależy, żeby dobrze strzelać? – Wykrzesalam z siebie nutę podziwu dla jego celności. – Jesteś chirurgiem. Wiesz, co się dzieje

z mięśniami i organami wewnętrznymi, gdy trafia w nie kula. Opowiadałeś mi o łataniu takich ran.

– Niedługo będzie wojna, nie wiesz? – Przeładował drobiażdżek. – Kiedy to nastąpi, będą potrzebowali broni w każdej parze rąk.

– Nie w twoich. – Odkąd sięgałam pamięcią, mój ojciec kręcił głowę i mówił: „Pewnego dnia wybuchnie wojna”, lecz ten dzień jeszcze nie nadszedł. – Jeśli wybuchnie wojna, nie wezmą cię do wojska.

Mój mąż zmarszczył brwi.

– Uważasz, że się nie nadaję?

– Mam na myśli to, że taki chirurg jak ty jest zbyt cenny, by go marnować na froncie – wyjaśniłam szybko, zauważając swój błąd. Od dawna nie żyłam z Aleksiejem, więc zapomniałam, jak należy mu schlebiać. – Będziesz prowadził szpital polowy, a nie pociągał za spust na rozkaz jak jakaś ślepa małpa.

Grymas niezadowolenia zniknął z jego twarzy i Aleksiej uniósł karabin.

– Na wojnie pojawiają się różne szanse, Milu. Szanse, których nie dostaje się w zwykłym życiu. Zamierzam być na nie gotowy.

Oddał następny strzał, nie trafiając jednak w środek tarczy.

– Dobry strzał, tato – powiedział zdyszany Sławka, przybiegając z powrotem.

Aleksiej zmierzwił mu włosy. Dwie młode dziewczyny z tyłu przyglądały się Aleksiejowi, okręcając pukle wokół palców. Niewykluczono, że mój mąż zauważył ich podziw, ponieważ kucnął obok swojego syna i zaproponował.

– Pokażę ci, jak to się robi.

Tak samo brzmiały pierwsze słowa, które skierował do mnie. Do małej Mili Bielowej, która niedawno skończyła piętnaście lat i pędziła wesoło przez pełną przeciągów salę taneczną, urzeczona muzyką, śmiechem i fioletową sukienką wirującą wokół jej nóg. Tańczyłam z przyjaciółką, obie mierzyłyśmy wzrokiem chłopców

pojawiających się na sali, aż nagle muzyka się zmieniła, popłynął wolniejszy, poważniejszy utwór... i oszalałmijąco wysoki jasnowłosy mężczyzna odciągnął mnie zrećcznie od przyjaciółki i wtulił w swoje ramię, mówiąc: „Pokażę ci, jak to się robi...”. Potem rozłożył dla mnie swój płaszcz, bym mogła usiąść na trawie za salą taneczną, i oznajmił mi, że zamierza zostać wielkim człowiekiem. *Rozślawię nazwisko Pawliczenko od Moskwy po Władywostok*. Uśmiechnął się, by pokazać, że żartuje, lecz ja wiedziałam, że nie. Nie do końca żartował.

Już to widzę, odrzekłam ze śmiechem. *Aleksiej Pawliczenko. Bohater Związku Radzieckiego!* Promieniał ambicjami, promieniał nimi tak jasno, że mnie oślepił. Patrząc na niego teraz, w zimowym półmroku strzelnicy, przypominałam sobie, jak potem wziął mnie za rękę i poprowadził, szepcząc: *Pokażę ci coś jeszcze...* No cóż. Wciąż podziwiałam jego płomienną ambicję, choć już go nie lubiłam i nie doznawałam ani odrobiny tamtego dawnego olśnienia.

– Nie, nie – mówił teraz do Sławki, a jego głos był podszyty zniecierpliwieniem. – Nie pozwól, żeby kolba opadła, oprzyj ją z powrotem o ramię...

– On jest za mały – powiedziałam cicho. – Nie dosięga.

– Ma siedem lat, może trzymać karabin jak mężczyzna...

– Ma pięć.

– Głowa do góry, Sławka, nie bądź dzieckiem. Nie krzyw się! – warknął.

– Przepraszam, tato. – Mój syn usiłował utrzymać ciężką brzoźową kolbę. Tak bardzo się starał zadowolić złotowłosego ojca, którego prawie w ogóle nie widywał. – Teraz dobrze?

Aleksiej się roześmiał.

– Spójrz na siebie, trzęsiesz się jak królik. – Aleksiej położył palec na dziecięcym paluszku Sławki spoczywającym na spuście i pociągnął. Mój syn wzdrygnął się, słysząc huk wystrzału, a Aleksiej znowu się roześmiał. – Chyba nie boisz się małego bum?

– Dosyć tego. – Wzięłam karabin i przyciągnęłam do siebie Sławkę. – My już idziemy. A jeśli umówię kolejne spotkanie w sprawie rozwodu, zechciej się na nim stawić.

Mówiłam zbyt szorstko. Powinnam używać łagodniejszych słów, powiedzieć: „Proszę, przyjdź” albo „Prawda, że przyjdziesz?”. Staranne dobieranie słów przez kobietę chodzącą na palcach wokół mężczyzny mającego przewagę i mogącego wykorzystać tę przewagę przeciwko niej – żaden poeta aż tak się nie męczył nad sformułowaniem zdania.

W oczach Aleksieja pojawił się chłodny błysk.

– Powinnaś być mi wdzięczna, *kroszka*. Kto inny zrobi mężczyznę z tego twojego szczeniaka? – Spojrzał na Sławkę. – Pamiętam, jak był niemowlęciem i wracałem do domu po dwunastogodzinnej operacji, a on wciąż nie spał i płakał. Ciągle jęczałaś, że nie może zasnąć, nie może zasnąć. Nie to co ja, ja umiem zasnąć wszędzie. – Spojrzał na mnie i ściszył głos do szeptu, żeby nikt oprócz nas go nie usłyszał. – O czym to świadczy, Milu?

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. – Czułam, jak Sławka drży, przytulając się do mojego biodra. Niczego nie rozumiał, ale się denerwował. Czułam, że chce wrócić do swojego zabawkowego pociągu, do ciasnego, przytulnego mieszkania babci, do błyszczącego samowara i łyżki dżemu, który nabierała dla niego prosto z chochli. Ja też chciałam jedynie stamtąd pójść, ale gdy już miałam oddać Aleksiejowi drobiażdżek, jego słowa mnie powstrzymały.

– Mówię tylko, że ten chłopak nie śpi tak jak ja. Nie ma też moich włosów ani moich oczu... – Aleksiej wzruszył ramionami, wciąż mówiąc ściszonego głosem. – Na widok takiego dziecka mężczyzna mógłby się zacząć zastanawiać...

– Wdał się w mojego ojca – odparłam lodowato.

– W kogoś na pewno. – Aleksiej włożył ręce do kieszeni, udając, że go to nie obchodzi. – Może dlatego chcesz się mnie pozbyć, Milu.

W twoim życiu nie ma nowego mężczyzny, ale może jest mężczyzna, który w nim był, zanim się poznaliśmy...

– Przynieś mi płaszcz, *morsik* – weszłam mu szorstko w słowo, popychając lekko Sławkę w stronę drugiego końca hali.

– ...bo kiedy przyglądam się temu chłopcu noszącemu moje nazwisko, zaczynam się zastanawiać. – Aleksiej patrzył, jak nasz syn – nasz syn – idzie niepewnym krokiem z powrotem w stronę wieszaków. – Naprawdę zaczynam się zastanawiać.

Wciąż trzymałam drobiażdżek, brzoza kolba była lepka od palców zdenerwowanego Sławki. Poczułam, jak moje paznokcie wbijają się w drewno, i miałam ochotę je zatopić w twarzy Aleksieja, w jego wysokich kościach policzkowych. Miałam ochotę krzyknąć, że nikogo przed nim nie miałam i on dobrze o tym wie, ponieważ prosto ze szkolnej ławy trafiłam do jego łóżka, by wkrótce wypchnąć z siebie jego dziecko. Wiedziałam jednak, że gdy tylko naskoczę na męża, on złapie mnie za nadgarstki i ściśnie odrobinę za mocno, mówiąc ze śmiechem: „Kobiety! Ciągłe histeryzują...”.

– Ale masz minę! – Aleksiej pokręcił głową i uśmiechnął się. – *Kroszka*, żartowałem! Nie znasz się na żartach?

– Może i nie – odparłam – ale znam się na strzelaniu.

Uniosłam karabin, odwróciłam się, ustawiłam muszkę ze szczerbinką na najdalszym drewnianym celu na strzelnicy, a potem pociągnęłam za spust. Zadzwońło mi w uszach i kiedy opuszczałam drobiażdżek, wyobraziłam sobie, gdzie dokładnie wpakuję kulę: w sam środek tarczy, w jeden z otworów, które zostawił tam mój mąż. Ale...

– Nieźle – powiedział rozbawiony Aleksiej. – Może następnym razem nawet trafisz w cel.

Rozległy się pohukiwania jego kumpli. Moje policzki płonęły. „Umiem strzelać!”, miałam ochotę krzyknąć. Kilka razy byłam na strzelnicy z fabrycznym klubem strzeleckim i szło mi bardzo dobrze. Nikogo nie olśniłam, ale też nie spudłowałam ani razu.

Za to dzisiaj owszem. Dlatego że byłam zdenerwowana, zła. Dlatego że próbowałam zetrzeć ten uśmiech z twarzy Aleksieja.

– Spójrz na siebie: bardzo poważna dziewczynka z wielkim karabinem. – Aleksiej zabrał mi drobiażdżek, ujmując mnie pod brodę, jakbym była niegrzecznym dzieckiem, tylko że głowa odskoczyła mi przy tym wystarczająco mocno, żeby zabolalo. – Masz ochotę spróbować jeszcze raz, *kroszka*? Śmiało! – Trzymał karabin wysoko nad moją głową, z uśmiechem i błyskiem w oku. – Podskocz!

Inni mężczyźni na linii ognia też zaczęli się śmiać. Usłyszałam, jak ktoś woła: „Skacz, *kukuszka*! Skacz!”

Nie zamierzałam skakać po karabin. Odwróciłam się do Sławki, który zbliżał się z moim płaszczem, i po chwili zaczęłam się ubierać.

– Zawiadomię cię, kiedy umówię kolejne spotkanie, Aleksiej.

– Niech ci będzie. – Wzruszył ramionami i znowu zaczął ładować drobiażdżek, uśmiechając się do dwóch obserwujących go dziewczyn. Zauważyłam, że odpowiadają mu uśmiechem. Tak to już jest z młodymi dziewczynami: łatwo zrobić na nich wrażenie. Szczupłą sylwetką, wysokim wzrostem i złotymi włosami, śmiałymi ambicjami i łapczywymi marzeniami. Też kiedyś taka byłam. Teraz jednak miałam dwadzieścia jeden lat i byłam rozzłoszczoną matką o dłoniach pachnących prochem strzelniczym i policzkach płonących z upokorzenia, której nie imponował już powierzchowny blask złych mężczyzn.



Dłoń Sławki w rękawiczce bez palców mocno ścisnęła moją, gdy szliśmy coraz ciemniejszymi ulicami Kijowa. Niebo koloru żelaza posyłało z góry spirale śniegu, który osadzał się na moich rzęsach.

– Wystaw język i złap płatek śniegu – powiedziałam do syna, lecz on milczał. – Gorące pielmienie z kwaśną śmietaną po powrocie

do domu? – spróbowałam po chwili, ale on tylko brnął przez brejowaty śnieg i od czasu do czasu gwałtownie drgał mu ramiona.

– *Morsik* – przymilałam się cichym głosem. Znaczyło to tyle co „mały mors” i nazwałam go tak, gdy jeszcze karmiłam go piersią. Bez wątpienia miał apetyt godny małego morsa.

– Tata mnie nie lubi – wymamrotał Sławka.

– Nie chodzi o ciebie, *morsik*. Twój tata w zasadzie nie lubi nikogo, nawet mnie. – Czułam, jak palce w połatanych rękawiczkach drżą mi ze złości. – Nie zobaczymy już więcej twojego taty, Sławka. Nie potrzebujesz taty. Masz babuszkę, masz dieduszkę. – Moi rodzice wprawdzie nie pochwalali mojej separacji z Aleksiejem, lecz mimo to przyjęli mnie z powrotem. Kochali Sławkę całym sercem, opiekowali się nim, żebym mogła pracować w fabryce oraz uczyć się do egzaminów. – Poza tym masz mnie, Sławka. Swoją mamę, która zawsze jest z ciebie dumna.

– Ale kto mnie nauczy strzelać? Potrzebuję taty, żeby... – płała się Sławka. Miał dopiero pięć lat. Nie rozumiał sformułowań, które niebacznie rzucił dziś Aleksiej: „nigdy nie zrobisz z niego mężczyzny”, „każdy mężczyzna powinien...”, „cackaj się z nim tak dalej”. Rozumiał jedynie, że z jakiegoś powodu ojciec uznał go za niedoskonałego.

Spojrzałam na jego ciemne włosy.

– Ja cię nauczę.

– Przecież spudłowałaś – wyrwało się mojemu synowi.

Spudłowałam. Ponieważ popełniłam błąd i dałam się sprowokować. Postanowiłam jednak, że następnych błędów nie będzie – nie mogłam sobie na nie pozwolić. Popełniłam już jeden kolosalny błąd, padając w ramiona niewłaściwego mężczyzny, i całe moje życie o mało się przez to nie wykoleiło. Teraz miałam syna i gdybym popełniła kolejny błąd, jego życie wykoleiłoby się razem z moim. Powoli wciągnęłam powietrze i je wypuściłam.

– Więcej nie spudłuję. Nigdy.

– Ale...

– Rostisławie Aleksiejewiczu. – Zwróciłam się do niego oficjalnie, zatrzymując go obok latarni i klękając na śniegu, by wziąć go za małe ramiona. Moje serce znowu załomotało. Spudłowałam do drewnianego celu na strzelnicy, ale tym razem nie mogłam popełnić błędu. – Od dziś to ja będę twoim tatą. Będę twoim tatą i twoją mamą. I nauczę cię wszystkiego, co musisz wiedzieć, żeby któregoś dnia zostać wspaniałym mężczyzną.

– Przecież nie potrafisz.

– Niby dlaczego? – Wyglądał, jakby miał wątpliwości, ale ja nie ustępowałam. – Wiesz, co to znaczy być wspaniałym mężczyzną?

– Nie...

– No to skąd wiesz, że nie potrafisz cię tego nauczyć? Kobiety umiej ją rozpoznać wspaniałych mężczyzn. – Zwłaszcza po tym, jak zderzyły się z mężczyznami pokroju Aleksieja. – Nikt lepiej niż dobra kobieta nie nauczy cię, jak być dobrym mężczyzną, gwarantuję ci.

Sławka tylko spojrział w kierunku strzelnicy, a jego długie, ciemne rzęsy pokryły się śnieżną zasłoną.

– Pokażesz mi, jak się strzela? – szepnął.

– Być może dzisiaj spudłowałam, ale to bez znaczenia. Twoja mama chodzi czasami do klubu strzeleckiego. Dzięki ćwiczeniom zakwalifikuję się na zaawansowany kurs dla strzelców wyborowych. – Wcześniej w ogóle nie brałam tego pod uwagę. Kto decydowałby się na trzy dodatkowe lekcje w tygodniu poświęcone szczegółowym zagadnieniom z balistyki i ćwiczeniom wojskowo-inżynieryjnym, mając na głowie komplet zajęć na uniwersytecie? Strzelanie to było tylko zwyczajne hobby, coś, co robiłam, by udowodnić, że aktywnie uczestniczę w aprobowanych przez państwo zajęciach rekreacyjnych. Poszłam tam, ponieważ chodzili tam moi przyjaciele: strzelaliśmy trochę po pracy albo po zebraniu Komsomołu, a potem szliśmy do kina

albo, częściej, wracałam do domu, by zająć się Sławką. Nigdy nie traktowałam tego zbyt poważnie.

Postanowiłam, że to się niebawem zmieni. Odznaka strzelca wyborowego – coś takiego z pewnością starłoby uśmiezek z twarzy zadowolonego z siebie Aleksieja. Co ważniejsze, Sławka uwierzyłby, że jestem kimś więcej niż tylko jego miękka, czuła, kochająca mamoczką. Aby zrobić z niego wspaniałego mężczyznę, musiałam go nauczyć o wiele więcej niż tylko strzelania. Ciężkiej pracy, uczciwości, traktowania kobiet obecnych w jego życiu lepiej, niż traktował je jego ojciec... Ale odznaka strzelca wyborowego – tak. To byłby dobry początek.

Poza tym pamiętałam ten sarkastyczny, zaborczy błysk w oczach Aleksieja, gdy na mnie patrzył. Sam mnie nie chciał, ale z drugiej strony nie do końca chciał, żeby dostał mnie ktoś inny.

Może nie byłoby tak źle, gdybym umiała się bronić lepiej niż dotychczas. Gdybym umiała bronić swojego syna.

– Powiedział, że trzęsę się jak królik! – wybuchł Sławka. – Nie jestem królikiem!

Ścisnęło mi się serce i mocno go przytuliłam.

– Nie, nie jesteś. – *Nie jesteś królikiem, a twój ojciec to drań. Ale my go nie potrzebujemy: ani ja, ani ty.* Mój syn miał mnie, a ja zamierzałam dać mu wszystko. Nasze własne mieszkanie pewnego dnia, ścianę zabudowaną regałami z książkami, dobrą przyszłość. W przeciwieństwie do Aleksieja nie marzyłam o tym, by moje nazwisko okryło się wieczną sławą. Nie potrzebowałam rozgłosu ani chwały. Chciałam jedynie dać swojemu synowi takie życie, na jakie zasługiwał.

A zatem koniec z popełnianiem błędów, zabrzmiał mój twardy wewnętrzny głos. I obiecałam sobie: *Ani dzisiaj. Ani jutro. Nigdy.*

Spis rozdziałów

Prolog	
<i>27 sierpnia 1942. Waszyngton</i>	9
Pięć lat wcześniej	
<i>Listopad 1937. Kijów, Związek Radziecki</i>	15
<i>Czerwiec 1941. Odessa</i>	40
Radziecka delegacja: dzień pierwszy	
<i>27 sierpnia 1942. Waszyngton</i>	67
Czternaście miesięcy wcześniej	
<i>Czerwiec 1941. Front odeski, ZSRR</i>	73
Radziecka delegacja: dzień pierwszy	
<i>27 sierpnia 1942. Waszyngton</i>	129
Jedenaście miesięcy wcześniej	
<i>Wrzesień 1941. Front sewastopolski, ZSRR</i>	135
Radziecka delegacja: dzień pierwszy	
<i>27 sierpnia 1942. Waszyngton</i>	197
Dziewięć miesięcy wcześniej	
<i>Grudzień 1941. Front sewastopolski, ZSRR</i>	205
Radziecka delegacja: dzień pierwszy	
<i>27 sierpnia 1942. Waszyngton</i>	261
Pięć miesięcy wcześniej	
<i>Marzec 1942. Front sewastopolski, ZSRR</i>	267
Radziecka delegacja: dzień pierwszy	
<i>27 sierpnia 1942. Waszyngton</i>	293
Epilog: Eleanor Roosevelt przyjeżdża do Moskwy	
<i>10 października 1957</i>	453
Posłowie	463